

REJESTR DOTYCZY:

KOBYLIŃSKA Róża-Maria

s/c i Róży (Rose F.)

z d. Nowotarska (Kobyliński)

..... w

kraj:

→ w

kraj:

pochowany:

nr grobu:

Nr rejestracyjny

...../.....

Nota zamieszczona:

w tomie

części

I n d e k s

.....
.....
.....
.....
.....

Copyright: 1970

B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

U w a g i:

WYWIAD Z CÓRKĄ

Bardzo, bardzo dawno temu, było to w r. 1938, przygotowywałam wywiad dla „Młodego Nurtu”, miesięcznika szkół średnich w Polsce. Obiektem moich zainteresowań dziennikarskich była moja młodsza o kilka lat koleżanka szkolna i teatralna, Ewa Kologórska. Miała już za sobą wówczas liczne występy na scenie krakowskiego Teatru Miejskiego im. Juliusza Słowackiego, grała w filmie, była „polską Deanne Durbin”. Żartobliwie nazywałam ją córeczką. Była malutka, szczupła, nosiła długie jasnopopielate warkoczki i patrzyła bardzo niebieskimi oczami zdziwionego dziecka. W czasie wywiadu Ewa powiedziała mi:

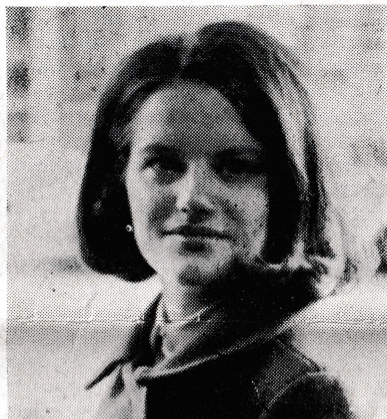
— Nie życzę ci, abyś miała kiedykolwiek robić wywiad z własną córką, bo ci to będzie poczytane za matczyne przechwałki.

Dziś, gdy siadam aby zrobić taki wywiad, przyznaję rację Ewie Kologórskiej. Niemniej, nie mam ochoty zrezygnować z wywiadu. Myślę o dzieciątkach ludzi, którym zadawałam pytania. Muzykach, malarzach, pisarzach, aktorach, reżyserach, dziennikarzach, kompozytorach, pieśniarkach i pieśniarzach. Sportowcach, poetach, wydawcach książek. Dlaczego moja córka ma cierpieć za to że ma matkę dziennikarkę? A że „ludzie będą mówić”? Przecież i tak będą. Na to nie ma rady. Biorę notes i ołówek. Lokujemy się w wygodnych fotelach na tarasie pięknej „Longworth Cafeteria” w Rosslyn na przedmieściu Waszyngtonu. Notuję pytania, zapisuję odpowiedzi. Tak, jak bym to robiła w wypadku zupełnie obcej mi osoby.

— Od ubiegłego roku występujesz w zespole „Lew Resseguie's Longworth Dinner Theater”. Jak się tam dostałaś?

— Wyczytałam w gazecie ogłoszenie że teatr ten poszukuje aktorek, aktorów, pieśniarek i pieśniarzy do „Sound of Music” Richarda Rogersa. Zgłosiłam się, na wszelki wypadek, bo nie jestem ani aktorką, ani pieśniarką i wiedziałam z góry że przepadnę na próbie kwalifikacyjnej.

— Jak przewidywałam, na próbie przepadłam. Ale okazało się że ten młody, dopiero formujący się teatr potrzebuje, oprócz sił aktorskich, także t.zw. „stage crew”, to znaczy zespołu do ustawiania i zmieniania dekoracji. Jest to sztuka sama w sobie. Lew Resseguie otwierał bowiem „Dinner Theater”. W tego typu teatrach nie ma kurtyny. Dekoracje zmienia się w zupełnie ciemnościach, na pamięć. Zespół



Róża Maria Kobylńska



dekoratorski musi być ubrany na czarno i w cichobieg, aby w ciemnościach antraktu był niewidzialny i, o ile możliwe, niesłyszalny.

— Jednym słowem, teatralni cichociemni. No i co dalej?

— Gdy przedstawienia „Sound of Music” były w całej pełni, dyrektor Resseguie zapowiedział próby kwalifikacyjne do „musical”u Franka Loessera „Guys and Dolls”. Poradził mi, abym się zgłosiła. I zostałam przyjęta.

— Dużo było kandydatek?

— Do zespołu tanecznego? Bardzo dużo. Na pełną obsadę zgłosiło się ponad sto osób. Najchętniej oczywiście widziani są tacy, którzy umieją wszystko: grać, tańczyć, śpiewać. Poszłam na lekcje śpiewu, żeby nie być tylko „nogami w tańcu” a „nogą poza tańcem”. Czy tak się to mówi po polsku?... Lekcje te bardzo mi się opłaciły. Podczas wystawiania „Guys and Dolls” rozpoczęły się bowiem próby do innego „musical”u, również Franka Loessera, „How to Succeed in Business without Really Trying”...

— No i co, dowiedziałaś się jak?

— Nie. W każdym razie nie w „show business”. W teatrze nie odnosi się sukcesów bez wysiłku. Trzeba też dużo dobrej woli i uporu.

— I talentu?

— I talentu. Przydaje się też dobra szkoła. Taka, jaką miałam w pozornie nieważnych lekcjach tańca prowadzonych przez Hankę Szczepkowską, baletmistrza Jean Jaj Jalmużyńskiego czy, w końcowym okresie mego pobytu w Detroit, w zespole Marcji Lewandowskiej i Ryszarda Kubińskiego. Bądź co bądź, tańczyłam kilkanaście lat. Miałam to, co się nazywa „doświadczeniem”. Nie mogę też pominąć przedstawienia wokalno-muzycznego „Polish Hootenanny” zespołu ludowego „Wawel”. Zresztą, nie ja pierwsza z detroickiej młodzieży „wyplłynęłam na szerszą wodę”. Halina Winiarska ma doskonałe nazwisko w kręgach artystów estradowych.

— Twoim więc zdaniem, lekcje tańca t.zw. „szkółek polskich” mają sens?

— Ogromny. Może tylko nie nale-



Lew Resseguie jako Jud i Barbara Thompson jako Laurey w „Oklahomie”

— Jestem do pewnego stopnia samoukiem. Zawsze mnie interesował właśnie ten rodzaj, więc sobie przerażałam w domu tańce widziane w telewizji, w filmie, czy w teatrze. Współpracowałam też przy układach tanecznych w Macomb Community College w Michigan do „West Side Story” Leonarda Bersteina. Pierwszy raz solo wystąpiłam w telewizyjnym programie Roberta Lewandowskiego w Chicago. Było to wielkie przeżycie stanąć przed kamerami telewizyjnymi i dwukrotnie wypełnić pięć minut tańcem. Na dodatek, tańcem własnego układu. Ktoś powie, drobiazg. Zdumiewające jednak, jak takie drobiazgi się przydają.

— No i co dalej?

— W „How to Succeed in Business” dostałam już większe partie taneczne i małe scenki. W tej chwili tańczę w „Oklahomie” Richarda Rogersa. Już mam propozycje do „Fiddler on the Roof” Szoloma Alaichema z muzyką Jerry Bocka i librettem Sheldona Harnicka. Trzy pozycje w jednym sezonie. To góra doświadczenia. Szczególnie że zespół Lew Resseguie's ma świetnie

przeżyli swe szczyty, i tacy, którzy aspirują do kariery na Broadwayu. Dla przykładu: Johnny Holliday, który kreuje główną rolę w „How to Succeed in Business”, grał w t.zw. „Summer Stock Theaters” w Kalifornii, ma za sobą radiową serię „Good Morning, World”. Na co dzień jest „disc jokey”em i sprawozdawcą radiowym: śpiewa, tańczy... Inny przykład: Lew Resseguie i jego żona Barbara Thompson wyszli z „The American Light Opera Company”. Występowali na różnych estradach, nawet trzykrotnie gościnnie w Białym Domu. Ich nazwiska pojawiają się w programach koncertów muzyki poważnej. Oboje mają piękne głosy. Barbara Thompson chce przejść do opery... Mamy poza tym w zespole studentów szkół baletowych, teatralnych, konserwatoriów muzycznych. Amatorów o dużych zdolnościach, którzy nie mieli warunków, aby się kształcić w szkołach dramatycznych. „Dinner Theaters” są ową wielką amerykańską „opportunity”, która podobno raz w życiu puka do drzwi każdego człowieka. „Opportunity knocks just but once”. To z operetki „Alla-

...jako Ellen w „musical”u Rogersa i Hammersteina „Oklahoma”

— Od ubiegłego roku występujesz w zespole „Lew Ressegue's Longworth Dinner Theater”. Jak się tam dostałaś?

— Wyczytałam w gazecie ogłoszenie że teatr ten poszukuje aktorek, aktorów, pieśniarek i pieśniarzy do „Sound of Music” Richarda Rogersa. Zgłosiłam się, na wszelki wypadek, bo nie jestem ani aktorką, ani pieśniarką i wiedziałam z góry że przepadnę na próbie kwalifikacyjnej.

— Więc po co poszłaś? żeby odpaść?

— Nie. Żeby zobaczyć, jaki to jest zespół, jacy ludzie. Co mają zamiar robić. Myślałam: może się im na coś przydam.

— No i jak wypadła ta pierwsza próba?



...jako Ellen w „musical”u Rogersa i Hammersteina „Oklahoma”

nieważnych lekcjach tańca prowadzonych przez Hankę Szczepkowską, baletmistra Jean Jay Jalmurzyńskiego czy, w końcowym okresie mego pobytu w Detroit, w zespole Marcji Lewandowskiej i Ryszarda Kubińskiego. Bądź co bądź, tańczyłam kilkanaście lat. Miałam to, co się nazywa „doświadczeniem”. Nie mogę też pominąć przedstawienia wokalnno-muzycznego „Polish Hootenanny” zespołu ludowego „Wawel”. Zresztą, nie ja pierwsza z detroickiej młodzieży „wypłynęłam na szerszą wodę”. Halina Winiarska ma doskonale nazwisko w kołach artystów estradowych.

— Twoim więc zdaniem, lekcje tańca t.zw. „szkółek polskich” mają sens?

— Ogromny. Może tylko nie należałoby ograniczać się do repertuaru wyłącznie tańców ludowych. „Młody Teatr” Jean Jay Jalmurzyńskiego dawał pod względem nauki większe możliwości.

— Gdzie nauczyłaś się tańców nowoczesnych?

wystąpiłam w telewizyjnym programie Roberta Lewandowskiego w Chicago. Było to wielkie przeżycie stanąć przed kamerami telewizyjnymi i dwukrotnie wypełnić pięć minut tańcem. Na dodatek, tańcem własnego układu. Ktoś powie, drobiazg. Zdumiewające jednak, jak takie drobiazgi się przydają.

— No i co dalej?

— W „How to Succeed in Business” dostałam już większe partie taneczne i małe scenki. W tej chwili tańczę w „Oklahomie” Richarda Rogersa. Już mam propozycje do „Fiddler on the Roof” Szoloma Alaichema z muzyką Jerry Rocka i librettem Sheldona Harnicka. Trzy pozycje w jednym sezonie, to góra doświadczenia. Szczególnie że zespół Lew Ressegue's ma świetnych choreografów. Do „Guys and Dolls” tańce opracowała Yona Dowd, do „How to Succeed in Business” Allan Reed a do „Oklahomy” William Maher.

— Allan Reed przyszedł do zespołu z Broadwayu?

— Tak. Występował w Nowym Jorku trzy lata. Jest nie tylko tancerzem, ale aktorem charakterystycznym i pieśniarzem. Oczywiście, nie mam zamiaru ukrywać swojej ambicji: chciałabym do jednego z „musical”ów zrobić układ taneczny. Mam jeszcze chyba dużo czasu i może zaspokoje kiedyś tę ambicję.

— A teraz krótko: co to są „Dinner Theaters”?

— Są to teatry w restauracjach. Jest ich w Ameryce coraz więcej i więcej. Cztery lata temu było piętnaście, w tej chwili — ponad sto. Niemal co miesiąc powstaje nowy. W Waszyngtonie i okolicy jest takich teatrów dziesięć.

— Czemu przypisać ich popularność?

— Cywilizacji. Mieszkańcy szeroko rozrzuconych miast i okolic podmiejskich doszli do wniosku że wyjście do teatru staje się coraz trudniejsze. Z pracy trzeba pchać się do domu w tłoku samochodów, prędko przyrządzać i jeść kolację w pośpiechu, znów zatłoczonymi ulicami, jechać do teatru. Albo inaczej: jechać do teatru bez kolacji i dopiero po przedstawieniu z pięknym uczuciem głodu szukać lokalu, w którym można coś zjeść, i późną nocą wracać do domu. Wszystko to stało się zbyt skomplikowane. Przyjemność zaczęła się zamieniać w kłopot. Bardzo kosztowny, na dodatek. A tak, kolacja i przedstawienie w jednym lokalu, pod jednym dachem.

— Jaki jest repertuar tych teatrów?

— Przede wszystkim „musical”e. „Śpiewo-gry”, jak je ktoś w Polsce nazwał. Po dobrej kolacji przy do-

Inny przykład: Lew Ressegue i jego żona Barbara Thompson wyszli z „The American Light Opera Company”. Występowali na różnych estradach, nawet trzykrotnie gościnnie w Białym Domu. Ich nazwiska pojawiają się w programach koncertów muzyki poważnej. Oboje mają piękne głosy. Barbara Thompson chce przejść do opery... Mamym poza tym w zespole studentów szkół baletowych, teatralnych, konserwatoriów muzycznych. Amatorów o dużych zdolnościach, którzy nie mieli warunków, aby się kształcić w szkołach dramatycznych. „Dinner Theaters” są ową wielką amerykańską „opportunity”, która podobno raz w życiu puka do drzwi każdego człowieka. „Opportunity knocks just but once”. To z operetki „Aladdin”...

— To w operetce. A jak wygląda w praktyce ta szczególna okazja?

— Nasz teatr jest młody. Istnieje dopiero rok, nie jest więc jeszcze bardzo znany poza metropolią waszyngtońską. Ale i w tym krótkim okresie już trzy osoby przeszły do dużych produkcji. Itzy Friedman, aktor charakterystyczny (Max Detweiler w „Sound of Music”, Benny Southstreet w „Guys and Dolls”, Mr. Bratt w „How to Succeed” i Ali Hakim w „Oklahomie”), dostał rolę w telewizyjnym jednogodzinym t.zw. „special” przedstawieniu „Pinocia”, w którym wystąpi ze swym synem Larrym. Larry grał u nas w „Sound of Music” jedno z dzieci. Od nas zabrano go do serii „Mulligan's Stew” przygotowywanej dla ogólnokrajowej sieci telewizyjnej NBC. Razem z Larrym podpisała kontrakt Sherry Wright. Też jedno z dzieci z „Sound of Music”. Może dodam tutaj że rodzina Friedmanów jest „teatralną rodziną”. Itzy gra u nas, o Larrym już mówiłam. Najstarsza córka Mona występuje w „Jesus Christ, Superstar” a ze swym najmłodszym bratem Bruce gra w „Fantastics” w innym „Dinner Theater”.

— W teatrze konkurencyjnym?

— Właściwie tak. Ale u nas akurat nie potrzeba teraz dzieci ani młodzieży... Zresztą, teatry „wypożyczają” sobie aktorów, czasami też odkupują. Normalna rzecz i chyba dobra, bo zmusza aktorów do większego wysiłku a dyrektora do hołubienia swych „gwiazd”.

— Skoro mówimy o gwiazdach. Czy dużo gwiazd filmowych przeszło do „Dinner Theaters”?

— Na pewno wiem o trzech: Jeanne Crain, Ann Sothorn i Janet Blair. Wszystkie trzy, dużej klasy aktorki filmowe. Jak widzisz, jest to ruch dwukierun-

ich w Ameryce coraz więcej i więcej. Cztery lata temu było piętnaście, w tej chwili — ponad sto. Niemal co miesiąc powstaje nowy. W Waszyngtonie i okolicy jest takich teatrów dziesięć.

— Czemu przypisać ich popularność?

— Cywilizacji. Mieszkańcy szeroko rozrzuconych miast i okolic podmiejskich doszli do wniosku że wyjście do teatru staje się coraz trudniejsze. Z pracy trzeba pchać się do domu w tłoku samochodów, prędko przyrządzać i jeść kolację w pośpiechu, znów zatłoczonymi ulicami, jechać do teatru. Albo inaczej: jechać do teatru bez kolacji i dopiero po przedstawieniu z piekącym uczuciem głodu szukać lokalu, w którym można coś zjeść, i późną nocą wracać do domu. Wszystko to stało się zbyt skomplikowane. Przyjemność zaczęła się zamieniać w kłopot. Bardzo kosztowny, na dodatek. A tak, kolacja i przedstawienie w jednym lokalu, pod jednym dachem.

— Jaki jest repertuar tych teatrów?

— Przede wszystkim „musical”e. „Śpiewo-gry”, jak je ktoś w Polsce nazwał. Po dobrej kolacji, przy dobrym drinku nie ma się zbyt wielkiej ochoty roztrząsać rozmaitych „przekazów społecznych” czy też gmatwanin psychologicznych.

— A więc ograniczony repertuar?

— Niezupełnie. Wprawdzie „musical”e jak „South Pacific”, „The Music Man”, „The King and I” czy te, które wystawiał nasz teatr, zajmują pierwsze miejsce, ale nie jedyne. Niektóre „Dinner Theaters” wystawiają melodramaty, komedie, nawet tragedie. Wielkim powodzeniem cieszy się twórczość Neila Simona. Jego „Barefoot in the Park”, „Come, blow your horn” czy „The Odd Couple”. Niedawno czytałam że w niektórych „Dinner Theaters” wystawiono O’Neill’a „Desire under the Elms”, Albee’go „Who is afraid of Virginia Woolf?” czy Andersona „Tea and Sympathy”...

— Kto gra w „Dinner Theaters”?

— Przede wszystkim aktorzy zawodowi. Starzy i młodzi. Tacy, którzy już

„Sound of Music” jedno z dzieci. Od nas zabrano go do serii „Mulligan’s Stew” przygotowywanej dla ogólnokrajowej sieci telewizyjnej NBC. Razem z Larrym podpisała kontrakt Sherry Wright. Też jedno z dzieci z „Sound of Music”. Może dodam tutaj że rodzina Friedmanów jest „teatralną rodziną”. Itzy gra u nas, o Larrym już mówiłam. Najstarsza córka Mona występuje w „Jesus Christ, Superstar” a ze swym najmłodszym bratem Bruce gra w „Fantastics” w innym „Dinner Theater”.

— W teatrze konkurencyjnym?

— Właściwie tak. Ale u nas akurat nie potrzeba teraz dzieci ani młodzieży... Zresztą, teatry „wypożyczają” sobie aktorów, czasami też odkupują. Normalna rzecz i chyba dobra, bo zmusza aktorów do większego wysiłku a dyrektora do hołubienia swych „gwiazd”.

— Skoro mówimy o gwiazdach. Czy dużo gwiazd filmowych przeszło do „Dinner Theaters”?

— Na pewno wiem o trzech: Jeanne Crain, Ann Sothern i Janet Blair. Wszystkie trzy, dużej klasy aktorki filmowe. Jak widzisz, jest to ruch dwukierunkowy: jedni koniecznie chcą na Broadway i do Hollywood, inni uciekają stamtąd w „rodzinną” atmosferę teatrów w restauracjach.

— Mówisz o rodzinnej atmosferze. Czy publiczność tych teatrów różni się czymś od teatrów zwykłych? od publiczności kinowej?

— Różni się zwłaszcza od publiczności kinowej. Ale chyba też i od teatralnej. Kino i teatr oparły w ostatnich latach swój repertuar na „seksie” w normalnej i wynaturzonej formie. Powiedziałabym że zaczyna brakować teatrów i kin w sensie „rozrywkowym”, a mamy nadmiar problematyki... Stąd też rzadko kiedy na film czy sztukę może iść cała rodzina. Inaczej u nas. Na „Sound of Music” przychodziły całe rodziny. Tak samo przychodzą na „Oklahomę”. Wspólna kolacja i wspólne oglądanie przedstawienia wypełnia jakąś lukę, może nawet staje się więzią, o której tak dużo się mówi że została zerwana...

— A twoje dalsze zamiary?

— Zostanę przy tańcu. To mi najbardziej odpowiada. Będę dalej pracowała nad głosem. Nie marzę o Broadwayu. Wystarczy mi to co mam. Uważam teatr Lew Resseguię za bardzo dobry. Znalazłam w nim miejsce dla siebie.

— Jeszcze jedno pytanie: czy oprócz ciebie jest w zespole ktoś polskiego pochodzenia?

— Był przez krótki czas Charles Butkowski. Teraz nie ma nikogo. To wszystko. Może po prostu polonia waszyngtońska nie była nastawiona na sztukę? Dużo tutaj bezdzietnych rodzin, dużo tradycyjnego, choć staroświeckiego, podejścia że „tancerka” to nie „pozycja społeczna”.

— A kłopoty z polskim nazwiskiem?

— Nie ma żadnych. Jeśli dziś wymawia się takie nazwiska — i to bezbłędnie! — jak Penderecki, Skrowaczewski, Skolimowski, Polański, to dlaczego nie Rose Marie Kobylinski?

— To chyba wszystko. Dziękuję za wywiad. Życzę ci powodzenia.

— Ja tobie też. Z tym wywiadem...

Róża Nowotarska.